



Fot. Marek Grotowski

## Rozmowa z Krystyną JANDĄ

# Świadomość swoich umiejętności

— W recenzjach uznano Panią za „wybitny, niezaprzeczalny talent” za osobę „o wielkim pokładzie wrażliwości, rozżarzonych uczuć, rzadkiej filmowej urodzie”, napisano także, że Pani przeznaczeniem jest „być zjawiskiem niepospolitym, zadziwiającym”, ale pisano też, że Pani jak dotychczas przynajmniej, „celuje w rolach historyczek”. Co Pani na to?

— Jestem aktorką, o której napisano recenzje, jakich pewnie nie napisano o innych. Były złe, a potem bardzo dobre, wręcz przesadzone, recenzje niezwykle pisane pod wpływem emocji. Profesjonaliści udowadniali łącznie je z tym, co pisze się o mnie za granicą. Zdumiewające jest to porównanie. Tam pisze się o mnie po prostu z szacunkiem, bez hysterii, spokojniej niż w Polsce. Pisze się tam o mnie jako o kimś, kto jest własnością polskiej kultury, oczywiście, zachowując wszelkie proporcje. A tu, huśtawka nienawiści i miłości. Uważam, że większość recenzji tu jest nieobiektywna. Czytam je wszystkie razem i widzę w nich siebie jako ulubione dziecko lub jako chłopca do bicia. Ale

może tak ma być i tak właśnie jest dobrze.

— Czy spotykała się Pani z przejawami zazdrości?

— Tak.

— A Pani jest zazdrosna?

— Tak. Jeśli ktoś wymyśli coś, czego ja w ogóle nie przeczuwam, to nie jestem, ale jeśli ktoś zrobi coś, o czym wcześniej pomyślałam — tak!

— Co Pani sądzi o rywalizacji artystów między sobą?

— Oczywiście, że ją akceptuję. Na przykład w Warszawie powinny być wystawiane te same sztuki na różnych scenach. Pojedynek byłby emocjonujący i twórczy.

— Wiem, że piosenka jest dla Pani rodzajem „odskoczni”?

— Przeszanę śpiewać. Mam tego dosyć, bo wszyscy mówią, że fałszuję. A ja, gdy gram spektakl, fałszuję z emocji. Profesjonaliści udowadniali mi, że nie powinnam tego robić.

— A jednak w „Hemarze” przygotowywanym w Teatrze Ateneum śpiewa Pani...

— Śpiewam, bo ciągle ktoś mnie do tego zmusza... i ciągle mi jednak tego żal.

— Czy przejmują się Pani krytyką?

— Słucham ludzi, każdego zdania — rozważam je.

— Grając bardzo efektownie role gwałtowne, czuje się Pani w nich świetnie, przynajmniej na to wygląda. Grane przez Panią kobiety nie są nieśmiałe. A Pani, czy Pani jest pewna siebie?

— Jak wiem naprawdę, co chcę zrobić, to tak. Nie patrzę wtedy na nic, ale gdy nie wiem, słucham wszystkich. Jeżeli na przykład zrozumieć, że reżyser ma rację, idę za nim bez zastrzeżeń. Choć w ogóle uważam, że wszystkie problemy, kłótnie na planie są twórcze. Ale ze wszystkimi reżyserami, oprócz jednego, jestem w przyjaźni.

— Jest wielu takich ludzi, którzy nie interesują się teatrem jako takim, a przychodzą do obejrzenia kogoś znanego, na przykład Panią Bardziej interesuje ich Pani zachowanie, wygląd niż gra na scenie.

— To straszne, ale to też element tego zawodu.

— Rzeczywiście tak jest, choć patrząc na to z innej strony, można przypuszczać, że wracamy w swych potrzebach do teatru aktorskiego.

— W literaturze teatralnej o wiele mniej jest ról dla kobiet niż dla mężczyzn. Wiele dla amantek, a potem... proporcje są zachwiane. To prawda, że idą czasy aktorów. Prawdą jest również to, że chodzi się do teatru na „nazwiska”. Myślę, że byłoby to jeszcze bardziej wyraźne, gdyby reagowała u nas na to reklama. We Francji

(Dalszy ciąg na str. 8)



# Świadomość swoich umiejętności

(Dalszy ciąg ze str. 1)

robi się listę aktorów przynoszących największe pieniądze. Tu nie ma to żadnego znaczenia. Tam żaden plakat reklamujący film nie obejdzie się bez zdjęcia aktora. U nas jednak pieniądze na kulturę nie ma i nie będzie, a na nich przecież opiera się wszelka kampania reklamowa.

— Można by Pani zarzucić komercyjne podejście do sztuki. Choć w określonej sytuacji wcale nie musi to być zarzut. Niemniej i u nas reklama zaczyna być coraz bardziej doceniana.

— Wszystko, co dotyczy reklamy, dystrybucji i informacji w Polsce jest właściwie dziełem przypadku. Rządzi się zupełnie niezrozumiałymi w świetle prawami. Jest niesprawiedliwe i przypadkowe lub świadomie saktamane.

— W Polsce Pani nie potrzebuje reklamy. We Wrocławiu przedstawiła Pani monodram „Biała bluzka”. Czy wierzy Pani, że to jego przesłanie przyciągnęło te tłumy widzów. Ja sądzę, że to Pani...

— A ja tak nie myślę. Mnie ja w ogóle nie interesuje. Jestem aktorką, a nie gwiazdą. Moja siła polega na stworzeniu postaci. W „Białej bluzce” opowiadałam to tak, żeby trafiło do młodzieży. Bezradność, zagubienie bohaterki — myślę, że to bliskie nastrojom. Oni teraz tacy są. Jeśli nie zapomnę, a przede wszystkim moja widownia, że to ja gram — Krystyna Janda to jest moja kłeska.

— Jak się przed tym bronił?

— Trzeba mieć świadomość swych umiejętności. W naszym kraju istnieje coś takiego, jak polityka kulturalna. Kieruje się ona szumującymi zasadami, zupełnie niezależnymi od rzeczywistych potrzeb kulturalnych społeczeństwa. Nazwiska które się pojawiają i znikają to między innymi wynik tego. Ale są wartości i twórcy których te układy nie dotyczą. Andrzej Wałda niezależnie od tego, w jakim momencie historycznym jesteśmy i jaka jest ta polityka, będzie zawsze Andrzejem Wałdą. Czy pamięta Pani, jak Zygmunt Kałużyński klekał w telewizji przed Izabelą Trojanowską. A gdzież ona teraz jest? Mnie już nie interesuje, tylko to, co i jak zagrać, by poruszyło widza.

— Przeszła Pani niedawno z Teatru Ateneum do Teatru Powszechnego. Zagra Pani Medea...

— Zagrać Medea — to jest dopiero trudne. Medea morduje swoje dzieci na scenie. Muszę jednak coś zrobić, żeby nagle ta widownia, która przyjdzie do teatru, mogła pójść za mną w tej roli. Poszukiwanie środków wyrazu... stawiać sobie tak trudne zadania to jest to, co mnie interesuje.

— Jak zareagowałaby Pani, po tym co już Pani zrobiła w filmie i w teatrze, na stwierdzenie o sobie — „wielka aktorka”?

— W filmie było mnie rzeczywiście dość dużo, ale w teatrze nigdy nie dotknęłam antyku czy Szekspira, nie można więc o mnie mówić „wielka aktorka”. Nie zagrałam dotąd...

— Do tego uprawiam go niehigienicznie. Na przykład, „Biała bluzka”, ten spektakl polega jakby na moich nerwach. Sam tekst winien być przeczytany w radiu, jest bowiem bardzo statyczny, a tu z moich nerwów budujemy coś emocjonalnego. To jest rodzaj portretu i ja muszę go ożywić, muszę zrobić coś, by pociągnąć za sobą widownię.

— A Rita („Kochankowie mojej mamy”) — i tu, i w innej Pani rolę wpisaną jest emocja.

— Film to coś skończonego, natomiast „Biała bluzka” każdego wieczoru zależy od moich nerwów tego dnia.

— Po raz pierwszy jest Pani blisko półtorej godziny na scenie sama.

— Tak, to bardzo poważny próg zawodowy. Przed występem we Wrocławiu grałam to osiem razy w Teatrze Żydowskim, ale jako próby generalne. Oficjalna premiera odbyła się wczoraj (5 marca w ramach VIII Przeglądu Piosenki Aktorskiej we Wrocławiu w Teatrze Kameralnym — przyp. K.K.). „Biała bluzka” to nowy gatunek na scenie. Piosenka nie jest tu komentarzem. Jest kropką, przedłużeniem tekstu, przekazaniem stanu emocjonalnego.

— Żyjąc niemal „z nerwami na wierzchu”, jak udaje się Pani uzyskać tak ogromne skupienie na roli?

— Skupienie to umiejętność zawodowa. Wiadomo, że o godzinie 19 należy się skupić i wejść na scenę. I to robię.

— Żyje Pani w stresie?

— Nie. Jak pracuję, żyję strasznym zmęczeniem. Bo ja tak pracuję.

— Czy ciężar prestiżu, jaki Pani ma, nie rzutuje na Pani życie prywatne? Jak znosi Pani ciężar popularności i sławy?

— Jestem osobą, która nie może „bywać”. Ludzie o mnie opowiadają. Czasem coś niepotrzebnie powiem, coś zrobię, często to potem nabiera niedobrego echa. Moje prywatne rozmowy podawane są także bez mojej wiedzy do wiadomości publicznej. Muszę uważać na to, co mówię. Mam jednak przyjaciół, z którymi się spotykam, rozmawiam.

— Czy ma Pani także wrogów?

— Nie. Żyję w izolacji. Mam cztery przyjaciółki. A Warmiński, Wałda, Bardini i Hübner to moje pogotowie doradcze i autorytety artystyczne.



— Najpierw wchodzi Pani na scenę mówiąc coś o codzienności, potem śpiąc przechodzi Pani między widzami, by z powrotem wrócić na scenę i pozostać tam już do końca spektaklu. Czemu ma służyć ten zabieg? Dlaczego właśnie taki jest początek widowiska?

— To jest jakby nawias. Umawiam się wtedy z widzami, że coś będę grała: umawiam się z nimi, że będę coś udawała.

— Nikt przecież nie może przypuszczać, że utożsamia się Pani z tą nieporadną dziewczyną, którą gra Pani w „Białej bluzce”.

— Nigdy ci nie uwierzą — mówiono do mnie, gdy przygotowywałam tę rolę. To Magda powinna zagrać tę dziewczynę, a ja reżyserować spektakl (Magda Umer „Białą bluzkę” wyreżyserowała przyp. K.K.).

— Lubi Pani swoich widzów?

— Bardzo. Choć w masie są bardzo różni. Mam przed sobą całą pełną ludzi i mówiam czasem przykre refleksje. Tak chcą się śmiać, tak chcą rzeczy prostych i łatwych...

— Jaki, Pani zdaniem, powinien być aktor — odważny czy ostrożny?

— Odważny — artystycznie na pewno, ostrożny w wyborze tego, co powinien brać do pracy.

— Czym dla Pani jest sukces

— Szukaniem odpowiedzi na pytanie, co dalej?

— Zgodnie z powszechnym myśleniem o sukcesie osiągnęła go Pani. A co Pani o tym sądzi?

— Mam do tego trzeźwy stosunek. Osiem lat temu osiągnęłam w Polsce sukces, po „Człowieku z marmuru”. Od tej pory mogłabym już nic nie robić i tak „byłabym w encyklopedii”, jak powiedział mi wtedy Janusz Głowacki. A ja przez dwanaście lat nakręcałam 40 filmów.

— Do czego Pani zmierza?

— Zmierzam do tego, by przyjąć kiedyś na widownię i zobaczyć ze zdziwieniem oglądając film, w którym gram, śmieją się lub płaczą. To byłaby dla mnie rzeczywista nagroda. I tak właśnie już się stało — na projekcji „Prześluchania” kiedy po 30 minutach usłyszałam lekkie pochlipywanie, potem płacz, a potem nikt nie wstał zaraz po... Myślę, że to był ten dzień, najważniejszy i nie wiem czy jeszcze się powtórzy. Sukces komercyjny nie ma dla mnie znaczenia. Jest on jak przefruwanie piórek przez pałce, potem to wszystko się od człowieka odwraca, ale to już naprawdę nie zależy od niego.

— Powiedziała Pani o sobie „Za mało to umiem i za mało wiem, żeby cokolwiek robić poza tym, czym jestem, naprawdę”.

— To prawda.

— Ale nie jest Pani przecież przez cały czas aktorką.

— Jestem fantastyczną żoną i matką, przynajmniej tak myślę (śmiech). Mam dziecko anioła, które przy moim trybie życia mogłoby być rozkapryszone, niezdolne, a takie nie jest. Dla mojego dziecka być aktorką i gwiazdą to mieć bóle brzucha i głowy, to płakać wieczorem, nie mieć czasu ubierać się prywatnie w cokolwiek. To koszmar i męka zmęczenia. Po premierze są kwiaty i oklaski, a kiedy to wszystko mija, ja w domu umieram ze zmęczenia i jestem ciągle z siebie niezadowolona. I widzi to Marysia. A kiedy mnie długo nie ma, pyta — „Mamo, kiedy wrócisz bo bez ciebie jest tak smutno”. Wszyscy w domu tak na mnie czekają. Chyba nie jestem jednak tylko aktorką.

— A jak Pani, tak wiele grając i tak wiele pracując, radzi sobie z codziennością. Czy ma Pani czas na coś jeszcze?

— Muszę sobie radzić. Mam 74-letnią gospozię, która niemal nie wychodzi z domu i która nie waha się wysłać mnie choćby tylko po pietruszkę, jeśli jest akurat potrzebna. Wszystko, co dotyczy domu, jest „zawieszane” na mnie. Dziecko ma katar, zapomniało zęsztytu, pies jest chory (mam dwa psy i kota) i tak dalej... Czuję się jak dyrektor fabryki. Takim samym dla mnie problemem jak nowa rola, jest problem znalezienia białego kostiumu na basen dla Marysi. Wszystko jest dla mnie tak samo ważne. Nie mam żadnej umiejętności selekcji.

— Jak więc Pani to wszystko godzi?

— Robię wszystko po kolei.

— W zawodzie aktora jest tak wiele piękna i tak wiele okrucieństwa zarazem. Aktor ciągle musi się podobać, zmagać się z publicznością, kupczyć nerwami, swoimi ciałem...

— Bardziej duszą niż ciałem.

— Stąd wypływają wszelkie kryzysy, przecież nie zawsze wie, co powiedzieć, albo nie wie, jak to powiedzieć publiczności.

— Ja bym kupczyła wszystkim, byle tylko powiedzieć ze sceny to, co chcę powiedzieć. Nie robię tego ani dla pieniędzy, ani dla aplauzu. Daje mi to „szczęście”.

— A jednak jest to sawód bohilotany...

— Czy rodzice popierali Panią w wyborze zawodu?

— Ojciec nigdy w życiu nie był w teatrze. Mama przy telewizji zasypia. Czy wiedzą, na czym polega „ta cała afera”? Mój ojciec pyta, ile zarobiłam za tę rolę. Uwielbiam ich za to.

— Co Panią inspiruje do działania

— Nie wiem.

— Robi Pani wrażenie, że wie, co zrobić... wyczuwa Pani życie?

— Analizuję to, co mnie otacza i wyciągam z tego wnioski.

— W „Białej bluzce” Agnieszka Oleśka, autorka opowiadania, nie pierwszy raz jawi nam się jako „podglądacz” rzeczywistości. Przywołuje małe, ale jakże prawdziwe sytuacje z naszego życia. Ile siły potrzeba, by wydobyć się z „małego” w życiu? Czy Pani się to udaje? „Nie grzechy wasze — wasze przystawanie na małym woła do nieba!” — to Nietzsche.

— Kiedy w teatrze i filmie „zajmuje się” szlachetnymi postaciami, w życiu nie mogą wrócić do młodości. Jest to może kabotyńskie, ale tak jest.

— W niedługim czasie zagra Pani w filmie Jana Łomnickiego „Helena Modrzejewska”. Modrzejewska to także wyjątkowa postać.

— Może zagram. Na razie nie ma pieniędzy. Byłby to serial dla telewizji. Autorem scenariusza są — Hanna Bojarska i Jan Łomnicki. Scenariusz jest wspaniały. Tak wiem, jak to zagrać. Jak zagrać samotność człowieka tak wielkiego w sztuce. Modrzejewska to wstrząsająca postać. Przeciwno wszystkim i wśród wszystkich sama.

— Jak można określić Pani emploi?

— Staram się, żeby to nie istniało.

— Zagrała Pani w wielu filmach za granicą. Proszę pokusić się o porównanie...

— Tego nie da się porównać... Jednak wolę pracować w Polsce, bo tu się porozumiewam. Gdy tu mówię szare, jest to szare. Tam bywa widziane inaczej, bo ci ludzie co innego czytali, co innego oglądali, inne bajki opowiadały im babcie.

— Zna Pani język francuski, ale osy w RFN nie wymaga się od Pani grania w języku niemieckim?

— Od czego jest dubbing. Zresztą ja też stawiam warunki. Gram w języku polskim ewentualnie tylko w języku francuskim.

— Czy jest Pani konkurencją dla tamtejszych aktorów?

— Aktor, który zostaje tam na stałe, jest konkurencją. Ja jestem gościem i to jest bardzo wygodne.

Z Krystyną Jandą rozmawiała  
KRYSZYNA KUCZYŃSKA